

# Kinga Filińska

---

## Ligujący

---

Kultura i Wychowanie 2, 201-210

---

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Ligujący

Nagroda specjalna w konkursie  
im. Julka Cyperlinga  
na Najlepszy Reportaż w Roku Akademickim  
2010/2011  
**autorka: Kinga Filińska**

## *Materiał*

Na początku jest drewno.

I jedna prosta zasada. Takie drewno, jakie na danym terenie można najszybciej znaleźć.

A więc tu – sosna. Tylko za miasto się ruszyć, to w każdym lesie – jedna, druga, setna. Drogi tyle, co nic, stąd do lasu piechotą na spacer można chodzić. Albo śmignąć rowerem, jadąc do którejś wsi. A przejażdżki pan Andrzej lubi. Jak jest pogoda, to i kilkanaście kilometrów robi.

Ale zdarza się, że drewno samo wpadnie w ręce. Czasem koledzy gdzieś z Polski przywożą; o, tu, tu, te dwie gałęzie, bardzo ładne, olszynowe, aż z Grodziska Mazowieckiego przyjechały. Kawalek

Kinga Filińska  
studentka Uniwersytetu Łódzkiego  
III rok, Dziennikarstwo i komunikacja społeczna

przecież, od Ciechanowca z półtorej godziny drogi.

Czyli może być sosna, ale też olcha, wierzba, lipa, topola. Żadna filozofia – trzeba wleźć w chojary. I pamiętać, ile się ma lat. I wzrostu. Bo materiał trzeba wybrać „pod siebie”. Dorosły człowiek szuka gałęzi mniej więcej półtorametrowej. Ale i od tego nie wszystko zależy.

W drewnie liczy się twardość.

No i teraz się zaczyna. Wejść w las – gałęzi pełno. Ale znaleźć taką, co się do roboty nadaje – co innego. A nadają się te z gęsto rozmieszczonymi słojami. Jeśli odstępy są małe – pół milimetra, milimetr – dobrze, drzewo rośnie wolniej, ale jest twardsze. Centymetr między słojami – wata, nie drewno. Do niczego.

Jeśli pan Andrzej potrzebuje jednej gałęzi, to z lasu przywozi dziesięć. Bo w drewni okaże się, że zdalnych jest z pięć. I nie ze wszystkich coś wyjdzie.

Drewna nie można obrabiać od razu. Gdzie, taka surowizna prosto z lasu. Zaraz uschnie i pęknie przy pracy. Niech poleży trochę w korze.

I dopiero potem do roboty. Na początku trzeba zdecydowanie. Szczerze. Żadnych dłupek czy innej poezji. Raz! siekierą, dwa! siekierą, aż wióry lecą. Pan Andrzej ma w drewni taką jedną podpisaną. „Siekira kowala Jędrzeja”, stoi wzdłuż trzonka, grubym flamastrem, drukowanymi literami. Żeby jej co nie wcięło, wyjaśnia właściciel. Bo siekierę w razie czego zawsze pożyczycy.

Ociosaną gałąź bierze w objęcia imadło. Inaczej

mogłaby uciekać spod ośnika (tutaj – ośniaka; inaczej chyba żaden majster w Ciechanowcu nie powie). A teraz trzeba nadać drewnu kształt. Stanąć za jednym końcem gałęzi. Przyłożyć ostrze na drugim, prostopadle do drzewa. Mocniej zacisnąć dłonie na uchwytach po obu stronach narzędzia. I przyciągnąć go do siebie. Strzepnąć długi wiór. I jeszcze raz. Strzepnąć. I jeszcze. Ośniak zabiera gałęzi kolejne warstwy, formując ją w łagodny łuk, a drewno, uspokojone pewnym uściskiem imadła, nie zgłasza sprzeciwu. Pozwala się odstaniać i kształtować. Ale nie wolno się w tym zapamiętać; można zaszkodzić. Do siebie, do siebie, gdzie, nie za dużo! Teraz ostrożniej.

Tu, pokazuje pan Andrzej, jest taki hebel, nie no, nie to, tam, o, o, ciepło, gorąco. Własnej roboty. Hebel – to po ciesielsku. Bo po polsku – prędej „strug”. I tak samo „winkiel” – po stolarsku, choć „kątownik” – po polsku. W ciesielstwie czy kowalstwie jest pełno dawnych naleciałości z niemieckiego, tłumaczy pan Andrzej. Język roboty to nie język narodu. Mogli sobie polscy rzemieślnicy wymyślać swojskie „zdzieraki”, „wybieraki”, „równiaki”. Hebel to hebel. Do dziś.

Hebel zbiera drewno jak nóż masło. Mniejsze, ostre narzędzie, do pracy trochę delikatniejsze. Ale lepiej przeciągnąć kilka razy i nadal mieć w czym robić, niż raz za mocno – i już nie mieć.

Gałąź otrzymała kształt. Gładkie, łagodne półkole. Co z nią teraz zrobić?

Przeciąć piłą wzdłuż.

Tarczową – nie bardzo, rzaz na pół centymetra. Za dużo. Co to znaczy? Jak to co, wzrusza ramionami pan Andrzej. Przy cięciu traci się tyle drewna, ile szerokości ma ostrze. A połówki trzeba będzie potem znów połączyć. Całość może być za wąska. Więc – piła ręczna.

To trochę nienaturalna siła. Zanurza się w niepodzielne – można pomyśleć – struktury drzewa. Najpierw dyskretnie wprowadza między

nie przykry zgrzyt. Potem wędruje wzdłuż całej postaci drewna, aż rozdzieli je na dwie części.

I od tej pory znów bez ceregieli. Zanim połówki do siebie wrócą, trzeba dobrze ukształtować ich wnętrza. Cieślice z tępą regularnością żłobią drewno ze środka pierwszej części, jeden kawał, następny, następny. To samo – z drugą. Potem dłuto. Dobrze naostrzone ma ścinać włoski z ręki. Ścina – można przystawiać do drewna. Wystruga mniejsze kawałki.

Teraz należy dążyć do kształtu pół-rynienki o ścianie grubości dziecięcego palca. Więc od tej pory pracuje się wyobraźnią. Nie żadnym ośniakiem; ręka drgnie i pójdzie za daleko. Łatwo przedobrzyć. Trzeba mieć patent.

Pan Andrzej ma. Teraz używa zaokrąglonego ostrza, które wybiera tylko pół milimetra. Nie więcej. I jeszcze raz. Pół milimetra.

Zaraz, zaraz, bo to bardzo ważne – przy węższym końcu każdej połówki pod żadnym pozorem nie można wybrać całego drewna.

Półrynienki skleja się klejem stolarskim i składa z powrotem. Składa? Nie. Ścisca drutami, aż trzeszczy. Aż trzeszczy, powtarza pan Andrzej. Aż w drewnie zostanie ślad.

Sklejone, złożone, a więc gotowe, tak?

Nie, łapie się za głowę pan Andrzej, no gdzie!

To nie tak, że się gałąź okoruje, przetnie, wyłobi części, złoży, iszlus. Drewno pracuje; schnąc, kurczy się, wygina – nierównomiernie, każda połówka wedle własnego życzenia. Dlatego trzeba mocno je ścisnąć, a i tak nie pasują do siebie idealnie. Więc teraz należy zeszlifować nierówności.

I jeszcze – założyć ściskające całość obręcz. Można robić je z tyka, bo ładne to, i mocne diabelnie. Ale pan Andrzej woli metalowe. Pewniejsze, i wyglądają też niegłupio.

Teraz na tym końcu rynienki, gdzie nie zostało wybrane ze środka drewno, przewierca się dziurkę. Nie za dużą, broń Boże przedobrzyć!

Kwestia milimetrów?

Milimetra!, poprawia natychmiast pan Andrzej.

I dopiero potem można całość polakierować i zostawić do wyschnięcia. Na powietrzu, w zależności od temperatury, nawet na kilkanaście godzin.

Czas odmierza patelnia.

– No patelnia, patelnia – potwierdza pan Andrzej  
– Znalaziona gdzieś, aluminiowa, dziurawa była, to zaflekowałem, o, tu. Człowiek się zastanawia, która godzina. Kiedyś był budzik, ale budzik trzeba nakręcać. Nakręcać zapomniałem, to mi przestawał chodzić. Wyjąłem wkład z normalnego zegara, zamontowałem z jednej strony patelni. Wskazówki – z drugiej. Chodzi? Chodzi.

Zegar-patelnia odmierza więc czas w drewni pana Andrzeja, powieszony za rączkę na gwoździu. Obok wisi ten „normalny”, choć pozbawiony wkładu nie daje znaku życia.

– I w niego można wsadzić wkład – wzrusza ramionami pan Andrzej – tylko po cholere mi dwa zegary? Co ja, zegarmistrz jestem?

Cyk, cyk, cyk. Przesuwają się wskazówki zegara-patelni. Schnąca, wyżłobiona gałąź o długości odpowiadającej wzrostowi człowieka, powoli dojrzewa do swojej nowej roli. Mijają godziny.

I wreszcie jest.

Ligawka.

## Dźwięk

Ligawka, ów flet mazowieckich pasterzy, osobliwie tych, co nocną porą pasące się robocze konie i woły strzegą przed żarłocznością drapieżnego wilka; jest to długa na dwa lub trzy łokcie trąba, pospolicie łukowato zgięta, z drzewa za pomocą toporka (...) wystrugana, zwykle z dwóch połówek dla łatwiejszego wewnątrz wyżłobienia złożona, na spojeniu pakiem zalana, chrapliwym głosem przeraźliwie uszy razi z bliska.

Oskar Kolberg, *Mazowsze*. Cz. V, Kraków, 1890

– Tylko proszę mnie tu nie brać za etnografa. Ja wyrabiam ligawki. O historii opowiem, ale z grubsza.

„Z grubsza” historia instrumentu i tak przypomina trasę kolejki górskiej.

– Zaczyna się gdzieś w XI wieku – podejmuje pan Andrzej – To może być najstarszy polski instrument, ale wiadomo, naukowcy się kłócą, jak zawsze w takich sprawach – pewności nie ma.

Jest za to pewność, że ligawka wydaje przeciągłe, ogłuszające dźwięki, których nie da się słuchać, przebywając w jednym pomieszczeniu z grającym. Jest pewność, że pierwsza pisemna wzmianka nazywająca instrument „ligawką” pochodzi z dzieła o tytule dłuższym niż sama wzmianka. I jest pewność, że ligawkę przekazywali sobie na przestrzeni lat wszyscy, tylko nie muzycy.

Początkowo robiła karierę w myślistwie, przy obławach, tak jak używano rogu. Z ponadmetrowej rury bez wentyli i otworów trudno wydobyć pojedyncze brzmienie, a co dopiero melodię. Dlatego jej odgłos zawsze był bardziej sygnałem, niż dźwiękiem – częścią całości.

Kilka wieków później przyjrzeni się ligawce pasterze – zobaczyli dwumetrową drewnianą trąbę, ale (przyłożyli oko do jednego końca, przyjrzeni się uważnie), wyżłobioną, lekką, więc przenośną. Posłuchali – i usłyszeli dudniące, niekoniecznie

czyste dźwięki niosące się daleko z wiatrem. Zagrali – i wypłoszyli z pobliskich krzaków ptaki, psy, ciekawską smarkaterię. Pomyśleli – i wyciągnęli wnioski. Kiedy następnym razem paśli bydło, nie musieli się już obawiać. Przeszywający dźwięk ligawki rzucony w kierunku lasu zupełnie nieźle odstraszał wilka. A i do skrzykiwania się na wspólny wypas był w sam raz.

Dlatego pasterz z regionów mazowiecko-podlaskich kilkaset lat wstecz to nie bajkowe, drobne chłopię z wystruganą fujareczką w dłoni i ździebełkiem trawy romantycznie zwisającym z ust. Pasterz z regionów mazowiecko-podlaskich kilkaset lat wstecz to chłop niosący na pastwisko dwumetrową drewnianą trąbę.

A potem donośny odgłos ligawki okazał się najlepszy dla podkreślenia atmosfery oczekiwania. Atmosfery tego czasu w roku, kiedy życie zwalnia i nabiera powagi.

– Więc ludzie zaczęli układać proste melodie. I grać przed Bożym Narodzeniem – mówi pan Andrzej – Nazwali to „otrębywaniem Adwentu”. Rano – na roratach. Wieczorem – jak już porobili, co mieli porobić w ciągu dnia. Jak na wioskach była cisza. Wychodził na wsi z chałupy jeden chłop. Dał. Jak w tę trąbę zadać, to się przecież niesie na kilka kilometrów. Więc wychodził w sąsiedniej wsi z chałupy drugi chłop. Łapał melodię. Dał. I podawał dalej...

Dudniący dźwięk ligawki zaczyna więc towarzyszyć mroźnemu, surowemu okresowi, na mroźnych, surowych terenach. Symbolizuje prostemu ludowi i pierwsze, i ostatnie przyjście Chrystusa (kojarzony z trąbą archanielską przed Sądem Ostatecznym).

Najtrudniejszy jest zawsze moment na pograniczu wydarzeń. Rolnikom najciężej jest tuż przed żniwami. To okres, w którym kończą się zeszłoroczne zapasy. Człowiekowi jest ponoć najtrudniej zaraz przed dobrą passą. Głęboko wierzącym ludziom Mazowsza i Podlasia ligawka towarzyszy od XVIII wieku czasowi najsrońszemu – poprzedzającemu przełom przyjścia Pana.

### *Co było później?*

– Później – rzuca pan Andrzej – Za ligawkę była kula w łeb.

W czasie II wojny światowej Niemcy kategorycznie zabronili wyrabiania i posiadania ligawek oraz gry na nich. Wszak było znane też ich mniej liturgiczne zastosowanie – zresztą, wiejscy bimbrownicy również po wojnie ostrzegali się przeciągłym, nośnym sygnałem przed patrolami MO. Ale zanim ligawki nagrabiły sobie w oczach naszej milicji, nie trafiły też w wysublimowane gusta niemieckich gości.

– „Słowiańskie tam-tamy” – mówi pan Andrzej – Tak je nazwali.

Bo dostrzegli w donośnym dźwięku i potencjalny sygnał ostrzegawczy dla zwykłej ludności, i umówiony komunikat dla partyzantów.

Więc, co robili ludzie?

– Bali się – kończy pan Andrzej – Jak wtedy wszyscy. I wszędzie. Ligawki płonęły.

Przez jakiś rok po wojnie na Podlasiu można było jeszcze usłyszeć prosty, trochę nieczysty dźwięk. Potem byli partyzanci w wojnie polsko-niemieckiej stali się partyzantami w wojnie polsko-polskiej. A UB jeszcze długo ścigało grających, uważając ich za porozumiewających się członków ruchu oporu.

Ligawki zamilkły.

Jak w takim razie przetrwało tych kilka całych egzemplarzy, kilka par rąk znających kształt ośniaka i kilka umysłów, pamiętających metodę wyrobu, nie wiadomo. Wiadomo, że w latach 70. jakimś sposobem przeraźliwe dudnienie znów zaczęło rozlegać się na mazowiecko-podlaskim pograniczu i drażnić co wrażliwsze uszy.

Niewielki pokój w domu pana Andrzeja. Południe.

– Fffff – mówi powietrze wdmuchiwane przy węższym końcu ligawki.

– Dddduuuut...! – odpowiada przeraźliwie jej drugi, szerszy koniec.

Trzeba zmienić ten temat, bo ciężko to wytrzymać.

– Jak uzyskać dany dźwięk w ligawce?  
 – Dmuchać – mówi konkretnie pan Andrzej – Ale nie jak w balon! Usta dobrze ułożyć. Drugie, co się liczy – siła sprężonego powietrza. Większa – wyższy dźwięk. Mniejsza – niższy. Wiadomo – nie zagra się wszystkich; nie ma otworów, nie ma wentyli. Mogą być tylko: c, g, e... I kilka oktav rozpiętości. Po trzecie – im ligawka dłuższa, tym więcej dźwięków.

Dlatego ligawka ma dziś półtora-dwa metry. A w swych złotych czasach zdarzało się jej urosnąć i do pięciu. Dzieciak na wsi chciał wydobyć więcej dźwięków od dzieciaka za płotem. Mężczyzna chciał nie tylko wydobyć dźwięk, ale i zagrać melodię. A chciałeś grać, nie było zmiłuj – strugają sobie trąbę na kilka łokci.

Początkujący nie ma lekko. Dosłownie i w przenośni. Ligowaniem nigdy nie rządziły jasne zasady, a gabaryty instrumentu nie ułatwiają sprawy. Ale trening podobno czyni mistrza. Co trzeba mieć, by na ligawce zagrać melodię? Wyćwiczoną przeponę, pojemne płuca, silne ręce?

– Mózg – odpowiada pan Andrzej.

Ligawka nie lubi działania siłą. Lubi pytania i wnioski.

– Nie trzeba się tak dąć i dąć, bo człowiek się tylko zrobi czerwony jak ruski traktor. A dźwięku nie wydobędzie. Raczej zapytać kogoś, jak usta ułożyć. Nie bokiem! Równie dobrze można tyłkiem... Oprzeć o coś instrument; po co koniecznie w powietrzu trzymać? Podnieść do pionu – zawsze będzie lżej, niż w poziomie.

Pytać warto. Nie tylko dla efektów w grze.

– Bo można zarobić przydomek – tłumaczy pan Andrzej – Pokoleniowy. Był w jednej wsi taki grajek... Jak grał, to jakby baran beczał, czy byk jaki buczał, no nie wiadomo co. I cały czas ten jeden dźwięk: buu... buu... To go ludzie tak przezwali: „byk”. Tyle, że to było ileś lat wstecz. Powiedzmy – dziadek-byk. Więc i syn się wiele nie nauczył. I to samo: buu... buu... To jego też przezwali „byk”. Syn ma teraz dzieci. Buu... buu... Też: „byki”.

Pan Andrzej ma ulubioną, idealną długość ligawki – 1 metr, 45 centymetrów. Idealną grubość ścianki – półtora centymetra. I prawie skończoną ligawkę o takich wymiarach.

– I będzie idealna – mówi – Stradivarius. Instrument idealny. Tylko na razie coś mu brakuje. Nie znam go jeszcze dobrze. Ale już wiem co.

Okazuje się, że chodzi o wielkość ustnika, czyli dziurki, którą przewierca się przez drewno nie wyżłobione na węższym końcu ligawki.

A w ustniku liczy się milimetr. Nie milimetry, ale właśnie każdy milimetr.

– Jak wiertarka pójdzie za daleko – tłumaczy pan Andrzej – To już dźwięk nie ten, już coś nie tak, już coś nie stroi.

Cała filozofia wyrobu ligawki to nie kwestia dwóch metrów drewna, które trzeba przytaszczyć z lasu. To kwestia jednego milimetra, którego nie wolno zahaczyć.

– Więc ludzie myślą, że ligawka to instrument-przypadek, uda się-nie uda się. Mnie się wszystkie muszą udać.

Nad ustnikiem trzeba posiedzieć jeszcze ze dwie godziny.

– Za duży – ocenia pan Andrzej – Czyli do dupy. A ma być do dmuchania.

– O ile za duży?

– O pół milimetra.

Dźwięki ligawki idealnej będą idealne po zeszlifowaniu połowy milimetra drewna z ustnika i dwóch godzinach. Ile dźwięków można zagrać na niej teraz?

– Czystych – trzynaście. Nieczystych – dwa.

Popołudnie.

Jak polubić się z instrumentem, o którym pierwsza wzmianka jest krótsza niż tytuł źródła, instrumentem, który się udaje albo nie udaje, instrumentem, na którym ciężko grać, jeszcze trudniej słuchać? Jak poznać się z trąbą, za którą groziła kulka, a który

i tak uparła się, by ogłuszać dalej? Jak tu przekonać się do ligawki, z której można wydobyć trzynaście czystych dźwięków, nieczystych - dwa?

– Żadna filozofia – wzrusza ramionami pan Andrzej  
– Trzeba to lubić.

– Nie – stwierdza po chwili – Tu się muszą klepki poluzować. Tu trzeba mieć na tym punkcie cholernego fioła.

### Stal

Pan Andrzej zaczął grać na instrumentach dętych w piątej klasie podstawówki. Konkretnie na ligawce – kilka lat później. 36 lat grania na trąbce w orkiestrze dętej OSP, dziesiątki udziałów w ligawkowych konkursach, nagrody jedna po drugiej.

Ale do ligawki nie przekonał się od razu.

– Jak byłem młody – wspomina – Mieszkaliśmy w takiej komunalnej chałupie, tu, w Ciechanowcu; rozwalala się już, trzeba było remontować. Przyszli ludzie, wzięli się do roboty, znaleźli coś na strychu i narobili rabanu: „Do muzeum z tym, do muzeum!”. Popatrzyłem – rura jakaś stara, kurzem porośnięta. Bierzcie, mówię, a na co mi to. I wzięli.

To było pierwsze bliższe spotkanie pana Andrzeja z ligawką. Był początek lat 60.

– Rozpoznałem ją po latach w zbiorach – wspomina  
– Należała do ojca.

Mija dekada. Ślady po ligawkach zacierają się w regionie coraz bardziej. Tymczasem Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu przeżywa spore poruszenie. Do niewielkiej pięciotysięcznej miejscowości, wciśniętej między Podlasie i Mazowsze, przyjeżdża VIP.

– Jakiś badacz. Taki koleś ze Szwecji – opowiada pan Andrzej – Dyrektorem Muzeum był wtedy Kazimierz Uszyński. Dokopali się na jakimś strychu do innej ligawki, badacz wytrzeszczył oczy, no i się zaczęło.

Oczy wytrzeszczał profesor Sverlen Noven, muzykolog z Instytutu Etnologii Europejskiej

Uniwersytetu w Lund. A zaczęło się nowe życie ligawki.

Od 1974 r. tradycja, która na przestrzeni lat powinna zagać już dobrych kilka razy, powraca w nowej formie. Ze starań dyrektora Uszyńskiego i zadziwienia profesora Novena nad instrumentem, o którym nie słyszał w całej karierze naukowej, wyrasta przy Muzeum konkurs gry na ligawce.

Jak zrobić konkurs w zapomnianej dziedzinie? Jak ustalić zasady, skoro zasady nigdy się jej nie trzymały?

Na pierwszą edycję uczestników trzeba było specjalnie szukać. Znalazło się sześciu.

– Ale nagle ludzie zaczęli sobie o ligawce przypominać – wspomina pan Andrzej – Swoje zrobiła sława naukowca, swoje robił dyrektor. Ludzie przyjeżdżali, pytali, okazywało się, że ktoś tam jeszcze trąbi, ktoś inny – umie wyrabiać.

Wtedy o instrumencie przypomniał sobie i pan Andrzej.

– „Idź na ten konkurs”, mówi mi kolega. Ja ligawkę widzieć widziałem, ale, jak to młody gówniarz, co mnie ona interesowała? Co innego wtedy w głowie było.

Mija kilka lat. Dudniąca wieść o ligawce dociera na drugi koniec Polski. Gdzieś w Beskidzie Śląskim, a potem na Podhalu, górale dowiadują się, że ich trombita ma na Podlasiu siostrę. Przyjeżdżają na konkurs. Przegląd z lokalnego staje się ogólnopolski. Później zaczynają się zjeżdżać również Kaszubi z bazunami, Szkoci, Litwini, Białorusini.

Ale na razie pan Andrzej z roku na rok odkłada swój udział, choć instrument już próbuje skonstruować. Pierwsza próba – niezbyt udana.

– Aż nie zdzierżyłem – mówi – Zrobiłem drugą ligawkę, dmuchnąłem, i mówię do matki: „w tym roku konkurs jest mój”.

I był.

Tę drugą ligawkę ma do dziś.

Drewutnia.

– To robił kowal. I to. I to – mówi pan Andrzej, pokazując narzędzia do wyrobu ligawki – I to. Kowal. Czyli ja.

Pan Andrzej jest kowalem. Zresztą, ciężko powiedzieć, kim bardziej – kowalem wytwarzającym ligawki czy wytwórcą ligawek zajmującym się kowalstwem.

W każdym razie na podwórku dokładnie obok drewutni stoi kuźnia.

Podków często się już nie wyrabia, bo mało kto teraz w Ciechanowcu konia kuje. Rzemiosło, które w tym rozumieniu i tak trzymało się tu długo, przybrało ostatecznie inny wymiar. Ozdoby, narzędzia, świeczniki.

– I na przykład takie coś – pan Andrzej wyjmuje z pudełka nóż. Wzdłuż główki biegną faliste wzory, jakby była płynną substancją, która nagle zastygła.

Damast, materiał z twardej stali skuwanej na przemian, warstwowo, z miękką. I dziwer – to samo, ale stal na styku jest rozgrzewana, aż zacznie w swojej ciastowatości być posłuszna. Wtedy zgodzi się połączyć z drugą, o ile i tamtą ciepłem przekonamy do zmiany twardego charakteru. Owocem mariażu będzie materiał twardy i elastyczny zarazem. A świadectwem – charakterystyczny wzór na główce. Ulubiony wśród średniowiecznych wojaków na całym Starym Kontynencie.

Dziś wśród zlecających jego wykonanie wielbicieli historii.

Kowalstwo – zawód patenciarza. Jak sobie patentu nie wymyślisz, kowalem nie będziesz.

Tak mawiał nauczyciel pana Andrzeja.

„Wymyślanie patentów” znaczy ni mniej, ni więcej, jak wypracowanie swoich sposobów i sposobików na radzenie sobie w rzemiośle. Samemu.

Więc pan Andrzej „wymyśla”. Również po to, by

radzić sobie z ligawkami. Narzędzia do wyrobu instrumentów może zrobić sam. Tworzy własne, poprawia inne, kombinuje, przerabia. Nawet takie, które specjalnie dla niego zrobił kowal z Węgier. Ulubione tworzywo – to, co pod ręką.

– Żadna filozofia – zapewnia pan Andrzej – Na przykład stał wysokowęglowa... Resor samochodowy – dodaje szybko.

Wszystko można zrobić własnymi rękoma.

No, prawie.

– Gdybym ja chciał tańczyć w balecie – zastanawia się pan Andrzej – No, to mógłby być dramat. Ale jeśli coś potrafię... I mam materiał... To zrobię... no, samolotu może nie... Ale to, co potrzebne... Wszystko.

I trochę więcej.

– Trombity też. A teraz mam na dwadzieścia bazun zlecenie. Na konkurs gry w Muzeum też robię.

Tradycyjne instrumenty górali i Kaszubów powstają w oddalonym o setki kilometrów miasteczku na pograniczu Podlasia i Mazowsza, potem wędrują w góry lub na Pomorze, by w końcu wrócić do punktu wyjścia?

– No i co z tego? – pyta pan Andrzej – Góralnie góral, Podlasiak-nie Podlasiak, wszędzie są tacy, co instrumenty umieją robić, i tacy, co nie umieją, tacy, co umieją grać, i tacy, co nie umieją. Nieważne, gdzie się urodził. Wszystko zależy od człowieka.

Pan Andrzej prowadzi więc warsztaty, pokazuje, jak pracować nad ligawką, jeździ na imprezy i zjazdy historyczne.

W Ryni znalazła go ekipa Jerzego Hoffmana.

Akurat powstawała „Stara baśń” i poszukiwano rekwizytów. I aktorów.

– Na zjazd pojechałem ze stoiskiem, jako kowal, ale zabrałem ze sobą też ligawkę – wspomina pan Andrzej – Początkowo zaproponowano mi rolę kowala. Odmówiłem. To zainteresowali się trąbą.



Na potrzeby „Starej baśni” pan Andrzej wykonał trzy ligawki. Zagrały podłożonym z taśmy dźwiękiem.

O wykonanie ligawki proszą też turyści z zagranicy. Dwumetrowe, buczące gałęzie wywieźli od pana Andrzeja mieszkańcy większości kontynentów. Po co?

– Jak to, po co. A po co my przywozimy jakiś szajs, dajmy na to, z Afryki, maski, nie-maski? Do rytuałów? Nie. Pamiętka.

Dlaczego nie drewniany, dziesięciocentymetrowy zubr, tylko drewniana, dwumetrowa trąba?

– Bo zubra się tylko postawi na stoliku – celuje pan Andrzej – A trąbą można podrażnić sąsiadów.

Lata 70. i 80., zwłaszcza w miasteczku otoczonym podlasko-mazowieckimi lasami, nie znały słowa „Google”. Nie było...

– ... niczego – potwierdza pan Andrzej – Internetu, kablówki, komórek.

Tata pana Andrzeja grał na ligawce, ale nie zdążył przekazać mu wiedzy. Skąd było wiadomo, jak robić ligawkę? Czytało się książki?

– A po co?

Pan Andrzej jest samoukiem.

Chodził na konkursy. Przysłuchiwał się rozmowom. Pytał. Obserwował. Zmarnował parę gałęzi.

Potem nadszedł czas wielu prób i wielu błędów. Jeszcze później – pierwszych udanych wyrobów. A potem przyszła perfekcja.

– Bo tak naprawdę to jest proste jak konstrukcja cepa. Żadna filozofia.

## Echo

### *Wstawajcie psubraty Już czas na roraty, roraty!*

Po starym, dobrym małżeństwie z myślistwem niezłej komitywie z pasterstwem i luźnej umowie towarzyskiej z kulturą ludową, ligawka wkracza na ścieżkę dyplomacji z XX i XXI wiekiem.

Konkurs w ciechanowieckim Muzeum Rolnictwa ściągnął ją z jakiejś zapomnianej orbity, ona sama nie mogła znaleźć bardziej wymownej bramki powrotu niż pogranicze obu regionów, w których dudniła przez lata.

A jednak coś się zmieniło.

– Tak, jak kiedyś z ligawką czekało się na Boże Narodzenie – zauważa pan Andrzej – Tak teraz z ligawką czeka się na zawody.

Umiejętności stały się celem, nie środkiem. Tradycję grania wyparła tradycja wygrania. Instrument zaczął przypominać sam o sobie.

– Konkurs dobra rzecz – mówi pan Andrzej – Ale nie gra się już z tych samych powodów, co kiedyś. Jak gram, to czasem ktoś, gdzieś, podchwyci. Ale tylko przed zawodami. Po zawodach – cisza. Proza życia.

– Tradycją było poranne granie w Adwencie – przypomina pan Andrzej – Teraz rano nie gram i ja. Roraty są o 4.00, a mnie o 4.00 wyrwać z łóżka można, ale granatem. No, ale grano też wieczorem, jak już się te bydło zagoniło, krowy podoiło. Krowy nie mam. Kota owszem. Ale gram w Adwencie wieczorem, jak już jest cicho.

Pewnie nigdy nie będzie do końca jasne, czy zmieniły się gusta, czy dziura między przedwojenną popularnością ligawki a jej odrodzeniem dopiero kilkadziesiąt lat później, była zbyt duża do załatania bez szwanku dla kształtu tradycji.

1 Tekst do melodii adwentowej na ligawkę z okolic Czyżewa

Chociaż pan Andrzej nie ma złudzeń.

– Dzieciaki nie chcą się tego uczyć, bo i po co? Ani to ładne, ani to zgrabne – mówi wprost – Ale to jak z jazdą na rowerze. Za pierwszym razem się człowiek potłucze, ale jak już łapnie sposób, to zapamięta do końca życia.

Melodie grane na ligawce rzeczywiście są toporne. Zagrać coś bardziej skomplikowanego to wyzwanie. Konkurs przypomina nieraz bitwę na wydobywanie jakiegokolwiek dźwięku.

Ale nawet kilka dźwięków tworzy melodię. A melodia potrzebuje pamięci.

– Wszystko się z biegiem czasu zapomina – mówi pan Andrzej – A ludzie na wsiach nie znali nut. Jak mieli zapamiętywać brzmienie danej melodii? Nie mogli tylko nucić, bo co można sobie zakodować z samego „trutututu”? Pęczek drutu, ot co. Trzeba było na daną melodię układać tekst.

Nie byle jaki tekst, tylko taki, który łatwo zapamiętać. Jaki tekst łatwo zapamiętać?

Prosty. Absurdalny. I niecenzuralny.

Dlatego dziś, najstarsi grający, o ile tylko pamiętają słowa, nie mają żadnych kłopotów z podzieleniem się mało parlamentarną treścią dla dobra dziedzictwa kulturowego i przyszłych pokoleń.

Pan Andrzej biega za nimi i spisuje, co się jeszcze da.

Jedną z jego najcenniejszych zdobyczy jest tekst:

*Karolino!*

*Nie wyszłaś, nie pudziesz*

*Posiedzisz na udzie*

*W chałupie na dupie*

*Aż do przedpuścia!*

Spisany w imię tradycji od 90-letniego mieszkańca Myszyńca.

Melodia ligawki może być prosta. Dźwięk ligawki może być sfalszowany.

Ligawka jest przeznaczona do przestrzeni. Trzecim członkiem zespołu, obok grającego i instrumentu, jest echo.

Ale do echa też trzeba się przygotować. Instrument wyda dobry dźwięk tylko wtedy, gdy będzie szczelny. Dlatego kiedyś w Adwencie ligawkę zamrażano.

– No mówię, zamrażano – powtarza pan Andrzej – Kładziono w wielkiej krypie do pojenia bydła.

Dlaczego?

– Proste. Drewno nasiąkając wodą, pęczniało. Szczeliny w materiale w ten sposób się zmniejszały. Poza tym lodowata woda na mrozie zamarzała w większych ubytkach i tak samo je wypełniała.

Zresztą dlatego ligawka nazywa się ligawka – od „legać”, czyli: opierać o coś. Trafne; jak trzymać dwumetrową rurę nasiąkniętą lodowatą wodą przez kilka minut w powietrzu i nie oprzeć jej choćby o najbliższy płot?

Dawniej zalewano też nieszczelności smołą drzewną, zrobioną z żywicy. Teraz już się jej nie używa.

To znaczy, na ogół.

– No tak, ja jestem dziwny człowiek – mówi pan Andrzej – i jeszcze taką smołę robię. Można, można samemu, ale trochę trudne.

Z dobrą, szczelną ligawką należy wyjść w przestrzeń. I szukać ściany lasu.

Jeśli pan Andrzej wychodzi grać przed dom, w Ciechanowcu, za las mogą robić nawet bloki.

Na płaskim terenie wiatr poniesie dźwięk na kilka kilometrów.

Jeśli na otwartej przestrzeni, to za las robi las.

– Raz pojechałem ćwiczyć na pole. Na polu jeździły kombajny. Zacząłem grać, patrzę – jeden kombajn stoi, drugi stoi, trzeci...

Wiatr niesie dźwięk nawet na kilkanaście kilometrów.

No i są jeszcze góry.

W Bukowinie Tatrzańskiej był kiedyś konkurs. Pan Andrzej brał w nim udział. Po konkursie do Bukowiny przyjeżdżali ludzie z innych wiosek.

– Mówili, że było słychać. Dwadzieścia kilometrów.

Dźwięk ligawki wypuszczony na wolność korzysta z niej zachłannie. W przestrzeni dudnienie przestaje być dudnieniem. Nie należy bać się fałszu – echo nakłada jeden dźwięk na drugi.

– Wyjść i grać – mówi pan Andrzej – Obojętnie, gdzie wiatr zanieśie.

W latach 90. pan Andrzej miał w Bukowinie marzenie.

Jednocześnie nie zmieniło się wiele w grze na dętych instrumentach ludowych. Ludzie wciąż z trudem wydobywali dźwięki, jedni lepiej, drudzy gorzej.

Pan Andrzej zagrał wtedy na konkursie hejnał mariacki. Jeszcze nie przypuszczał, jak to się skończy.

– Coś na tym konkursie wygrałem i udzielałem wypowiedzi dla lokalnych mediów – wspomina  
– Dodałem, że chciałbym kiedyś zagrać hejnał w Krakowie. A dziennikarze na to, żeby próbować.

Nie było łatwo. Nawet chwilowe wygryzienie trębacza z krakowskiej wieży wymaga pozwolenia z Urzędu Miasta. Ale pomogło właśnie zainteresowanie mediów. Pan Andrzej zgodę otrzymał.

Hejnał grał w Krakowie trzykrotnie. Pierwsze dwa razy – tylko na dziedzińcu.

– Najpierw zdurniały gołębie – opowiada – Wszystkie fru! Z placu. A ludzie myśleli, że to jakiś żart.

Potem na placu zrobiło się cicho. A gdy pan Andrzej skończył, po kolei podchodziły kwiaciarki.

– Jeden kwiat, drugi kwiat, trzeci kwiat... Ciężko to było nieść.

Za trzecim razem pozwolono panu Andrzejowi zagrać na wieży. Co prawda nie w południe, tylko o 13.00.

– Ale marzenie spełniłem. Południe to takie dodatkowe. Na kiedyś.

„Ligawka” – to od „legania”.

Zresztą, tak mówią jedni. Żeby nie było za prosto, z jednymi spierają się drudzy. „Ligawka” miałyby pochodzić od dawnego „legawca”, czyli psa myśliwskiego. A może od „legawego”, czyli leniwego, przeciągłego dźwięku? I tak dalej, i tak dalej, możliwości jest kilkanaście. Pan Andrzej powiedziałby, że jak zawsze, w takich sprawach pewności nie ma.

Melodia ligawki jest prosta. Dźwięk może być sfalszowany. Tyle wiadomo na pewno.

Na pewno wiadomo też, że grający na saksofonie to saksofonista, na klarncie – klarncista.

Jak nazywa się grający na ligawce?

– Zależy, jak ma na imię – mówi rzeczowo pan Andrzej – No nie wiem, a muszę wiedzieć? Ja gram.